

Witold Kaliński

O SNACH

Tytuł zobowiązujący. Są słynne eseje o takim tytule. Ten na pewno nie dołączy do ich rangi, ale – jak mawiają ludzie w moim wieku – wszystko jest dziś gorszej jakości.

Zazwyczaj biorę pół pastylki lekko otepiającej pogrążony po chwili we śnie mózg; pozwala mi to przespać sześć godzin. Czasem jednak – jak tej nocy – byłem tak senny, że wydało mi się zbędne użycie chemikaliów. Nocą też nastąpiło ocieplenie, skutkiem czego wymiana powietrza przez szczeliny domu była mniejsza, procent tlenu w pokoju nieco spaść musiał, dwutlenku wzrosnąć. Powietrze stało nad moim snem.

Był intensywny. Był „rodzinny”, z obecnością matki (nie żyje od z górą ćwierci wieku), brata, czyjś niemowlęcia, którym przyszło mi się opiekować. Wielopokoleniowy. Dział się w przestrzeniach znanych i nieznanach, a te znane były w trakcie dynamicznego remontu, nie na mój użytek prowadzonego. Snułem się na uboczu nie moich projektów.

Był – ku końcowi mocniej – snem o wydziedziczeniu, o nadchodzącej samotności, o jakimś wyrównywaniu rachunków, o jakichś – niesprecyzowanych – utraconych szansach. Na swój sposób i w swojej miniaturowej przestrzeni był snem proroczym. Nie tak, jak wielkie sny bohaterów mitu biblijnego, ale w wymiarach jednej egzystencji, jakkolwiek by ją opisywać.

Bo w końcu każda egzystencja, nawet ta grubiańska, staje wobec swoich niespełnień. Właśnie sen wydobywa je z zakamarków, gdzie trwają, oplątane złudzeniami. Teraz widziałem je jak na dłoni. Owe niespełnienia. Coś się miało toczyć inną ścieżką. Co – nie zostało we śnie do końca powiedziane. Tak on nie działa, żeby chlastać w twarz jednojednoznacznym, jak mawiał Laplace, zarzutem. Podsuwa za to obrazy, gromadzi zdarzenia, które cię odsłaniają. Stajesz może nie całkiem nagi, jak na Sądzie, ale w prześwitujących szatach. A pod spodem nie ma kulturyisty ducha ani ciała. Raczej mdłe, choć nieobce istnienie. Leśmianowskie. Ludzkie.

Zbudziłem się ze snu pokorniejszy, jak po terapii u psychoanalityka. Godzina piąta, godzina przed świtem. I myśl: spierasz się z tym i z tamtym, w rodzinie, w gminie, gdzieś jeszcze. Zdaje ci się, że prowadzisz słuszny spór, że jesteś „po jasnej stronie mocy” – tak się to dziś często nazywa. Energicznie artykułujesz tezy. W najlepszej intencji stajesz wobec planów innych ludzi. Wobec lub w poprzek.

Ale czy sam masz plan, czy znasz swoje sprężyny? Czy to projekt lepszy od innych?

Asnyk jest poetą daleko mniej znaczącym niż Leśmian, ale i on – wychowanek Heidelbergu, twardej niemieckiej szkoły filozofowania – ma miejsca znamienne myślowo. Próbuje sobie przypomnieć:

*Łudząca Maja otworzy ci oczy,
Migając widzeń różnobarwną tęczę,
Splotami wrażeń zmysłowych otoczy
I siecią złudzeń usidli pajęczą.*

Jako artykulacja poetycka – drugorzędne, ale jako diagnoza bodaj niemożliwe do obalenia.

To tylko sny” – śpiewają w serialu.

Tak, tylko sny. I we snach – my.